

Trudne jest trudne

Recenzja książki: Ks. prof. Waldemar Cisko, *Imigranci u bram. Kryzys uchodźczy i męczeństwo chrześcijan XXI w.*, rozmawiał Paweł Stachnik, Biały Kruk, Kraków 2017, s. 230.

MARCIN KULA¹

Akademia Teatralna im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie

Nie jest to książka łatwa do recenzowania akurat dla mnie. Jestem niewierzący, a książka pisana jest z pozycji człowieka Kościoła. Ta okoliczność nie eliminuje oczywiście możliwości rozmowy. Zdarzyło mi się już nawet bywać zapraszającym do dialogu między wierzącymi a niewierzącymi. Dyskutowanie niektórych spraw nie ma jednak sensu, skoro są właśnie kwestią wiary lub jej braku. Nadto, przy czytaniu odniosłem wrażenie, że autor nie jest nadmiernie tolerancyjny dla ludzi odległych od Kościoła katolickiego. Także, iż uważa, że związek z wiarą jest właściwą, jeśli nie jedyną drogą rozwiązania rozlicznych trudności. Trudno, żebym takie stanowisko podzielał. Na wszelki wypadek deklaruję więc:

- nie jestem, ani nie zamierzam być muzułmaninem;
- nie przypominam sobie, bym kiedyś atakował Kościół lub wiarę;
- doceniam wysiłek autora, który, idąc swoimi drogami, stara się pomagać jak może braciom w wierze na odległych terenach;
- doceniam autorski wysiłek przekazania jakże wielu informacji i wrażeń, także – choć mało to przyjemne w lekturze – pokazania wielu strasznych rzeczy, które dzieją się dziś, zwłaszcza w Afryce i na Bliskim Wschodzie;
- *a priori* zgadzam się, że problem napływu imigrantów i powstawania skupisk imigranckich to problemy trudne. Wiem, iż oni nad wyraz często nie chcą się asymilować, co w wypadku ludzi odległej kultury stwarza problemy nieporównywalnie

¹ Kontakt: j.m.kula@uw.edu.pl

większe niż na przykład w wypadku długotrwałego braku asymilacji migrantów polskich w niektórych krajach katolickich. Myślę, że dokonywanie zamachów terrorystycznych nie przez świeżych przybyszów, lecz przez osoby już osiadłe jest fatalnym elementem całego doświadczenia.

Z czym trudno mi się wszakże w zgodzić w przeczytanej pracy?

Książka jest silnie skoncentrowana na wybranym temacie. Pozornie dziwny to zarzut; każdy autor na coś się koncentruje. Jeśli jednak pokazuje się chrześcijan jako męczenników i z tego czyni wiodącą oś tekstu, to powstaje wrażenie, że tylko chrześcijanie i to zawsze byli męczennikami. Trudno zanegować, że bywali. Jednak nie zawsze. Nadto inni niestety też bywali. Wiem, podobnie jak autor, o atakach na chrześcijan w Indiach (s. 127). Warto jednak pamiętać o strasznych konfliktach, które miały miejsce w tym kraju pomiędzy różnymi grupami etnicznymi i religijnymi. Żeby było jasne: to oczywiście nie usprawiedliwia żadnego z nich. Niemniej jednak koncentracja na jednej grupie nie pozwala na zarysowanie pełnego obrazu nawet sytuacji tej grupy.

Autor twierdzi, że „chrześcijanie są najbardziej prześladowaną grupą w świecie tylko z tego powodu, że są chrześcijanami” (s. 149). Nie mam danych, by podjąć polemikę – a zresztą nie lubię konkurencji na liczbę cierpiących i ofiar. Każda ofiara jest ofiarą. Może jednak warto widzieć także innych cierpiących? Opis pewnego dramatycznego przykładu autor konkluduje zdaniem, że wśród muzułmanów „nienawiść do innych religii, zwłaszcza do chrześcijan, ciągle jest żywa, nawet w tak dramatycznych sytuacjach” (s. 77). Może. Czy jednak chrześcijanom też nie zdarzało się nienawidzić innych religii bądź odszczepieńców?

Zarysowany obraz jest mało zniuansowany. Chrześcijanie są w książce przedstawieni w świetle prawie jednolicie pozytywnym. W moim przekonaniu chrześcijanie byli różni – w wymiarze indywidualnym, a także grupowym i instytucjonalnym, na różnych terenach i w różnych czasach. Nie zawsze działanie Kościoła i jego instytucji było chwalebne. Już w tekście, pełniącym rolę wstępu, abp Marek Jędraszewski napisał: „Jako chrześcijanie, wypełniając przykazanie miłości Boga i bliźniego, potrafimy porozumieć się z innymi ludźmi, niezależnie od ich pochodzenia czy narodowości” (s. 13). Jako historyk zapytam: czy naprawdę zawsze tak było? Autor pisze: „My, chrześcijanie, staramy się zapomnieć o Kodeksie Hammurabiego i wynikającej z niego zasady: oko za oko, ząb za ząb. Staramy się przebaczać naszym krzywdzicielom, choć oczywiście stosujemy obronę konieczną i adekwatną do zagrożenia. Ale staramy się nie mścić” (s. 134). Myślę, że w świetle historii to zdanie powinno brzmieć raczej jako wezwanie (starajmy się). Autor opowiada jak w irackim Mosulu rozpadały się wieloletnie znajomości chrześcijan i muzułmanów. No dobrze (a raczej: no, źle). Zapytajmy jednak, czy swego czasu nie rozsypywały się znajomości między Polakami a Ukraińcami (strona polska nie była w tym bez winy!), zaś stosunkowo niedawno pomiędzy chrześcijanami w byłej socjalistycznej Jugosławii. Autor pisze, że w Arabii

Saudyjskiej istnieje „policja religijna, która karze za wyznawanie innych poza islamem religii” (s. 92). Łatwo zgodzę się, że jest to fatalne. Zapytam jednak, czy chrześcijańska Europa nie znała nietolerancji religijnej? Autor zwraca uwagę, że na terenie Autonomii Palestyńskiej nie pozwala się na zbyt wysokie krzyże, by nie rzucały się za bardzo w oczy (s. 106). No dobrze (a raczej: no, źle). Wspomnijmy jednak znane z chrześcijańskiej Europy dążenie, by synagogi nie przewyższały kościołów, zacieranie pamiątek żydowskich, czy, blisko nas, niemieckich (jakby to zestawienie nie brzmiało paradoksalnie!). Także współczesny zakaz budowy minaretów w Szwajcarii. Oczywiście, chrześcijanie w Betlejem są głębiej zakorzenieni niż muzułmanie w Szwajcarii. Niemniej jednak dla współczesnych muzułmanów w Szwajcarii nie to jest ważne. I warto mieć świadomość, że oni tam pozostaną. Na żaden Madagaskar nie wyjadą – by nawiązać do w pewnych aspektach porównywalnej sprawy żydowskiej w Polsce międzywojennej.

Autor obawia się, że w systemie demokracji prezydentem, na przykład Francji, może zostać muzułmanin, czy że muzułmanie mogą przeważać w wyborze burmistrzów i innych władz w miastach europejskich (s. 181). Odwiedziłem niedawno pełne muzułmanów miasteczko podparyskie, takie, w którym wręcz ulica nie wyglądała na francuską. Rozumiem niepokój tamtejszych francuskich mieszkańców, bo pewno jeszcze tacy też tam są. Doświadczenie i wiedza wskazują zresztą, że stopniowo będą się wynosić gdzie indziej, a miasteczko będzie coraz bardziej muzułmańskie. No więc co, ci mieszkańcy-muzułmanie mają nie mieć głosu w zarządzaniu swoimi sprawami? Przecież trzeba szukać rozwiązań wraz z nimi, a przynajmniej z tą ich częścią, która chce rozmawiać. Powtarzanie podejścia jak w Polsce przedwojennej do mniejszości narodowych, w tym do Żydów, jako do coraz mniej pożądanego gościa, dopiero nie przyniesie nic dobrego. Powtórzę: w swej masie oni się nie wyniosą.

W kontekście Syrii autor pisze: „Gdy mówimy o tolerancji, to najlepiej zobaczyć ją na przykładzie chrześcijaństwa właśnie”. Zbyt mało wiem o Syrii, by weryfikować takie zdanie. Jeżeli jednak traktować je jako ogólne, to mogę powiedzieć tylko, że chciałbym, by tak było. Nie jestem pewien, czy w historii zawsze tak było. Oczywiście wierzę autorowi, że egipcyscy muzułmanie (egipskie państwo) utrudniają budowę kościołów. Zapytam jednak, czy w Warszawie nie było niechęci wobec budowy meczetu. Tak, wiem, że sytuacja jest nieporównywalna o tyle, że Kościół koptyjski jest nieskończenie bardziej miejscowy niż nieliczne grupy muzułmanów tutaj. Nie uważałem jednak – jako niewierzący! – postawy utrudniania kultu w Warszawie za właściwą. Autor zwraca uwagę na ideologię, która w Indiach podnosi, że tamtejsi ludzie powinni stanowić jedno państwo, być jednym narodem i wyznawać jedną religię – hinduistyczną. Zwraca uwagę na jej podobieństwo do ideologii hitlerowskiej (s. 135). No dobrze, ale czy choćby w Polsce, także współcześnie, nie ma podobnych głosów? Słychać w nich powoływanie się na chrześcijaństwo, choć autor w tym kontekście zapewnia, że „chrześcijaństwo niesie ze sobą zupełnie inne wartości”. Możemy dyskutować jak liczne są takie głosy – ale nie jestem pewien czy to jest zjawisko całkiem marginalne.

Autor widzi ekspansjonizm muzułmanów (s. 185: „Religia Proroka ma objąć cały świat”). Może warto by też dojrzeć ambicje chrześcijan do głoszenia wiary jak świat długi i szeroki? ISIS „traktuje chrześcijan i szerzej innowierców niemalże jak podludzi” (s. 140). Tak, to fatalne. Jak jednak chrześcijanie niemieccy w swej masie (skłaniam głowę przed wyjątkami!) traktowali Żydów? Jak Kościół w Polsce międzywojennej traktował Żydów? Nawet, jeśli nie jako „podludzi”, to z pewnością niedobrze. Trudno mi dyskutować, czy Europa dziś zaparła się chrześcijaństwa i czy różne złe zjawiska są tego wynikiem (s. 141, 145). Wtedy jednak jeszcze z pewnością nie zaparła się, a w każdym razie nie Polska. „Świat muzułmański nie przyjął Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka” (s. 185)? A czy chrześcijańska Europa, która ją przyjęła, wszędzie ją realizuje? Przykro mi czytać słowa autora: „Muzułmanin, gdy wie, że nie jest nągrywany, że mówi prywatnie, to powie wprost: jeśli chodzi o dobro religii, to można każdego, w tym i niewiernego, okłamywać, zwodzić i oszukiwać. Dozwolone są wszystkie chwyt, które służą dobru religii. A zatem jak widać, na dobrą sprawę nie ma tu możliwości koegzystencji” (s. 144, podobnie s. 200). Przecież to jest dyskurs z lat trzydziestych, wtedy odnoszony do Żydów. Już prawie nie śmiem powołać jeszcze gorszego dyskursu rodem z Niemiec („Ty żydowska dziwko, dlaczego wyszłaś za mąż za żyda? W Talmudzie pisze przecież: »Każda nieżydowska kobieta jest dla nas dziwką“²). Warto pamiętać, że nawet jeśli pominąć postawę moralną, to ten dyskurs jest fatalny w kategoriach praktycznych. Muzułmanie, których społeczności utworzyły się w Europie Zachodniej, nie wyjadą. Mam nadzieję, że nie pojawi się ktoś, kto spróbuje ich wywieźć na jakichś transatlantykach, zresztą dokąd? Mam też nadzieję, że nie zbierze się ponowna narada w jakimś Wannsee. Tak dziś niepopularne w Polsce „multi-culti” będzie jedynym wyjściem. Nie twierdzę, że jest to i że będzie to wyjściem łatwym. Są jednak kraje, gdzie taka polityka jest sensownie realizowana. W USA wytrzymała nawet zamach na WTC.

O krucjatach autor mówi bardzo powściągliwie. Dostrzega oczywiście, że współczesny świat arabski dobrze je pamięta. Nie jest entuzjastą powoływania się na pamięć krucjat jako uzasadnienie współczesnej postawy świata arabskiego przeciw chrześcijanom – no bo trudno być zwolennikiem tak wykorzystywanej pamięci historycznej. Pozostaje faktem, że, przynajmniej w moim przekonaniu, krzyżowcy nie przynieśli chwały Europie, która też zresztą potrafi mieć bardzo długą pamięć. Europa potrafiła utrzymać ducha krucjat także później. Gdy w 1925 r. obchodzono w Tunisie stulecie urodzin prymasa Afryki, założyciela powołanego dla chrystianizacji tego kontynentu zgromadzenia Białych Ojców, kardynała La Vigerie (1825–1892), ustawiono jego pomnik na głównej ulicy europejskiej dzielnicy miasta, na wprost bramy w murach obronnych, oddzielających część muzułmańską. Postać kardynała na pomniku trzymała krzyż w ręku. Przesłanie było tak oczywiste i tak wyzywające, że nie dziwi, iż

² Victor Klemperer, *Dziennik 1933–1945*, Universitas, Kraków 2000, s. 165 (z zapisu w dzienniku pod datą 23 maja 1942 r., gdzie autor opisał najście faszystów na mieszkanie jego i jego nieżydowskiej żony).

studenci lokalnej mużułmańskiej uczelni odpowiedzieli demonstracjami³. Autor pisze, że prezydent Egiptu Naser „w polityce zagranicznej propagował antyokcydentalizm przedstawiany jako walka z kolonializmem i imperializmem” (s. 55). Może nie musiał się wysilać, by tak je przedstawiać? Może „po prostu” Europa prowadziła ekspansję kolonialną lub w inny sposób uzależniała od siebie różne państwa i terytoria? W końcu Kolumb, konkwistadorzy, także ich następcy, nie płynęli do Ameryki, czy nie penetrowali Afryki tylko dla szerzenia wiary – co zresztą już samo w sobie byłoby dla ludzi miejscowych nie do akceptacji. Miejscowi mieli moralne prawo się buntować – nawet jeśli nieraz wybierali drogi fatalne, nawet jeśli sympatyzowali z Hitlerem, czy ze Stalinem. W polityce i zachowaniach elit krajów „kapitalizmu peryferyjnego” wyczuwam ogromne kompleksy wobec krajów rozwiniętych, wyładowujące się czasem mądrze, a przynajmniej zrozumiale, a czasem niemądrze, niekiedy wręcz zbrodniczo.

Na początku XX w. Turcy, w imię modernizacji, zrobili rzecz straszną: wymordowali Ormian. Zrobili to sami, mocą własnej decyzji. Miejmy nadzieję, że kiedyś to przyznają we własnych książkach historycznych. Od kogo jednak „młodoturcy” zaczerpnęli ideę państw narodowych? Chyba nie od państw mużułmańskich przecież lecz od europejskich, nieprawdaż? Holocaust – największe ludobójstwo – został dokonany przez naród chrześcijański. Tak, zauważam, że autor oczywiście nie ukrywa, iż żołnierze niemieccy mieli na klamrach wypisane słowa „Gott mit uns” (s. 160). Mogę do tego jeszcze dodać, na przykład taki „kwiatek”, jak fakt, że nowy kościół, zbudowany w Mariendorfie w 1939 r., miał w przedsiönku portrety Lutra, Hindenburga i Hitlera. „Nawa była wyłożona ośmioletkami przedstawiającymi na przemian motywy nazistowskie i chrześcijańskie, ambonę zaś podpieraly wspólnie figury chłopca z Hitlerjugend, członka SA i żołnierza”⁴. Wiem, rzecz jasna, iż pojedynczy przypadek nie stanowi jeszcze dowodu na nic, a stosunki reżimu hitlerowskiego z Kościołami chrześcijańskimi nieprzypadkowo były skomplikowane. Mimo wszystko trudno mi jednak zapomnieć, że ci niemieccy chrześcijanie (mniejsza o wyznanie) nie byli wtedy lepsi od Turków w ich zachowaniu wobec Ormian.

Autor traktuje zarówno hitleryzm, jak stalinizm, jako próby „budowania świata bez Boga” i jako takie wywodzi je z Oświecenia (s. 160). Może. W oczach swoich architektów te konstrukcje społeczne rzeczywiście miały opierać się na rozumie. Zostawmy na boku czy faktycznie więcej w nich było odwoływania się do rozumu, czy myślenia parareligijnego (podkreślam: para-, nie religijnego). Takie potraktowanie Oświecenia – jako źródła przeogromnej części zła (s. 158–160) – znów wydaje mi się jednak ogromnym uproszczeniem. Nasz świat nie tylko w wydaniu Hitlera i Stalina jest w znaczącym stopniu produktem Oświecenia. Sądzę, że jest jego spadkobiercą także w sferach, które znajdują uznanie autora. Z kolei odwołanie się do religii nie

³ Andrej Dziubiński, *Historia Tunezji*, Ossolineum, Wrocław 1994, s. 284.

⁴ Nicolas Stargard, *Wojna Niemców. Naród pod bronią 1939–1945*, tłum. Tomasz Fiedorek, DW Rebis, Poznań 2017, s. 56.

zawsze gwarantowało humanistyczne rozwiązania. By odwołać się do znanego nam wszystkim przykładu: Hitler wymordował znaczną część Żydów, Stalin też miał fale myśli i działań antyżydowskich (wbrew stereotypowi żydokomuny), ale Kościół katolicki nie zawsze w swoich dziejach mógł zapisać stosunek do tej grupy na plus. Car wierzył w Boga, Rosja przed rewolucją była krajem pobożnym – a widzę tam rozliczne negatywy. W Wielkiej Wojnie, która była akuszerką naszego współczesnego świata, stanęły naprzeciw sobie narody chrześcijańskie.

W czasach niedawnych, w Iranie za Chomeiniego – pisze autor – „skończono z wolnością słowa i wyznania, a także prawami obywatelskimi i narodowymi” (s. 57). Zgoda – poza jednym słowem: „skończono”. Czy wprawdzie, za szachinszacha one istniały? Trudno nie widzieć złych elementów rządów Nasera, Chomeiniego, czy Fidela Castro. Nie żeby ich usprawiedliwiać ze złych czynów, ale w imię rozumienia procesu historycznego jeszcze raz powiem, że to wszystko było jednak dość skomplikowane.

Kościół i wyznawcy Chrystusa są pokazani jako nieustająco oblężona twierdza. „Groźba prześladowania zawsze była i nadal jest istotnym elementem życia Kościoła i wyznawców Jezusa Chrystusa” (s. 18). Trudno negować, że były czasy i tereny potwierdzające prawdziwość takiego obrazu. Bywały jednak też inne. Nawet w odniesieniu do PRL trzeba niuansować ten obraz w zależności od okresu oraz, zwłaszcza, w porównaniu do innych krajów obozu. Autor pokazuje dzisiejszą Polskę jako teren nagonki przeciw Kościołowi. Jestem tym zdumiony. Powołanie paru przykładów dzieł artystów, którzy w przekonaniu autora profanują symbole religijne, nie jest dla mnie przekonującym argumentem – już nawet nie wchodząc w interpretację tych dzieł. Jako niewierzący odczuwam raczej ekspansję Kościoła, przy jednoczesnej postawie oblężonej twierdzy ze strony licznych wiernych. Może jest ona rezultatem pewnej tradycji, może umacnia wiarę oraz zwartość instytucji? Może rodzi się ona z niezrozumienia, że wypełnienie świątyń przez ludzi w okresie PRL nie tłumaczyło się jedynie religijnością. Może wynika z wyprzedzającej obawy przed sekularnym procesem ateizacji, widocznym na Zachodzie? W każdym razie zestawienie obok siebie obrazka, pokazującego oddanie chrześcijan lwom na pożarcie w starożytności oraz współczesnej fotografii mudzahedinów strzelających do chrześcijan, uważam za kiepski dydaktyzm. Skądinąd jako historykowi w ogóle nie podoba mi się przemieszanie w książce współcześnie malowanych obrazków o przeszłości z obrazami dawnych mistrzów, a jeszcze na dodatek z dzisiejszymi fotografiami.

Niektóre proponowane rozwiązania nie podobają mi się. Autor pisze: „Ważne jest, aby uwrażliwiać Polaków jeżdżących do Ziemi Świętej, by zatrzymywali się tam w hotelach, które prowadzą chrześcijanie, bo to daje im pracę. Zwracajmy uwagę, jeśli już kupujemy różaniec czy krzyżyk na pamiątkę, aby kupować je pod chrześcijan” (s. 104). No cóż, nie wątpię, że tamtejsi chrześcijanie nie mają łatwo. Taka recepta kojarzy mi się wszakże jedynie z hasłem „Swój do swego po swoje”. Przyniosło ono fatalne rezultaty, pogłębiło podziały itd. Momentami mam wrażenie, że w różnych kategoriach rozumowania świat wraca do lat trzydziestych. Oby rezultat był tym razem inny.

Czasem chciałbym uzyskać głębsze analizy spraw przedstawianych. Przedstawiony obraz muzułmanów jest bardzo stereotypowy. Nie ma cienia pytania o przyczyny sukcesów Mahometa w rozprzestrzenianiu islamu. Autor widzi własne słabości chrześcijan, które osłabiają grupę w Europie. Wszystko tłumaczy jednak zaniechaniem, czy brakiem zapału i gorliwości. Może tak jest. Może jednak sprawa jest głębsza, a przynajmniej też głębsza? Negatywne zjawiska występujące zwłaszcza wśród młodzieży autor tłumaczy praktycznie jedynie osłabieniem wiary (s. 206: „Musimy więc wrócić do korzeni i autentycznej wiary”). No tak, zgodzę się, że wbrew Marksowi „nadbudowa” jest nieraz ważniejsza niż „baza” (przepraszam za użycie tak niemodnych słów). Komunizm w Europie upadł, gdyż nawet wśród jego czołowych przedstawicieli zabrakło wiary weń. Może jednak ten czynnik nie tłumaczył wszystkiego? Może dobre i złe zjawiska nie sprowadzają się tylko do kręgu wiary? Autor jest księdzem, więc siłą rzeczy na ten aspekt sprawy zwraca uwagę przede wszystkim – ale może choćby negatywne zjawiska wśród młodzieży mogą mieć też inne przyczyny (pytanie, czy potrafimy je rozpoznać?). W parafii, na terenie której mieszkam, ksiądz tłumaczył jakieś popełnione przez młodych ludzi, wówczas głośne przestępstwo, osłabieniem wiary, atakowaniem wiary przez część tego świata itd. Czy naprawdę brak wiary doprowadził tych chłopaków do popełnienia przestępstwa? Przypuszczam zresztą, że byli to wierzący młodzi ludzie, którzy w swoim czasie odbyli katechizację, pewno po prostu nie wyobrażali sobie ślubu innego niż kościelny... No i łatwo mi wskazać młodych ludzi niewierzących, wywodzących się z niewierzących rodzin, którzy nie weszli na drogę przestępstwa.

Autor mówi, że „niektóre ugrupowania”, aktualnie „sprawujące władzę” w UE, „starają się wymazać wszystko, co chrześcijańskie z historii Europy” (s. 149). Czy naprawdę? Czy, jeśli proces ateizacji postępuje, nie warto poszukać jakichś przyczyn trochę głębszych niż czyjaś zła wola, zawsze najłatwiejsza i najwygodniejsza do wskazania? Nie jestem kompetentny dla oceny hamowania rozprzestrzeniania informacji o agresji na chrześcijan we Francji i w Niemczech (s. 152) – ale może miejscowi burmistrzowie/merowie obawiali się zaognienia konfliktów? Nie wszystko zawsze jest proste w tak delikatnej materii. W innej materii autor z aprobatą powołuje zdanie swego przyjaciela, że „rodzina katolicka musi mieć od trójki dzieci wzwyz. I wtedy wiadomo, że to są młodzi katolicy. I to jest droga, na której chrześcijaństwo może się odrodzić” (s. 172). To jest zdanie ciekawe, gdyż jako jedno z wielu w książce potwierdza moje podejrzenie, że ludzie związani z Kościołem czują kryzys bądź nadchodzący kryzys (zastanawiałem się, czy nie tym należy tłumaczyć ich wyżej powołane poczucie obłąkanej twierdzy). Jednocześnie jest to zdanie naiwnie upraszczające rzeczywistość. Choćby z potocznego doświadczenia wiadomo, że dzieci niekoniecznie idą drogą rodziców. Skoro już o dzieciach mowa, to wspomnę, jak to w jakimś kontekście autor mówi o pięknie dywanów swego czasu produkowanych w Iranie (s. 96). Nie wątpię, że były piękne. Kiedyś czytałem jednak, że takie dywany najlepiej splatało się małymi paluszkami dzieci. Może też warto więc skomplikować sprawę.

Autor jest nieraz niekonsekwentny. W niektórych wypadkach, w jakimś stopniu nawet zgadzamy się. Mówi, że chrześcijaństwo przeszło „swoiste oczyszczenie” między innymi dzięki „reformacji i oświeceniu” (s. 186–187). Zatem Oświecenie nie było całkiem złe? Cieszę się. Mówi, że narzekając na brak chęci społeczności muzułmańskich do dialogu „i my musimy uderzyć się we własne piersi jako przedstawiciele zachodniej cywilizacji” (s. 205). Uznaje, że Zachód miał swój udział w pojawieniu się muzułmańskiego fundamentalizmu i ekstremizmu (s. 205). Mówi, że „jedynym rozsądnym wyjściem wydaje się pomoc [pomóc? – M.K.] tej części wyznawców islamu, którzy w Europie mają szansę doświadczyć kontaktów z innymi religiami niż islam i pokazać im, że z wyznawcami innych religii można współżyć pokojowo w ramach wolności i pluralizmu”; że „polityka może być oddzielona od religii i stanowić świecką drogę osiągnięcia dobra wspólnego”; że „rozum nie musi być wrogiem religii, ale jej przyjacielem” (s. 186). Też się cieszę, nawet jeśli cieszyłbym się jeszcze bardziej, gdyby w tym rozumowaniu znalazło się również miejsce dla niewierzących. Kłopot tylko w tym, że te zdania, wypowiedziane pod koniec książki, nie są konsekwentne w stosunku do całej jej treści. Autor pisze, że napływ imigrantów powoduje „wzrost poparcia dla rozmaitych partii radykalnych” (s. 188). Ma w tym rację. Czy jego książka, wywołująca strach przed muzułmanami, jednak też nie wzbudza – przy zachowaniu wszelkich proporcji – takiego zjawiska? Już sam tytuł przypomina, obawiam się, że intencjonalnie, słowa „Hannibal ante portas”.

Autor pisze, że „Albo Europa się obudzi, wróci do chrześcijaństwa i normalnej rodziny, albo będziemy skazani na dominację muzułmanów” (s. 205). Za Eurostatem podaje, że wśród migrantów 75% to mężczyźni w wieku poborowym i stawia pytanie, czy nie ma w tym zjawisku jakiegoś „drugiego dna” (s. 188). Sugerowałbym ostrożność w takim podejściu. Oczekiwanie wojny cywilizacji i zachowywanie się jak gdyby ona miała nastąpić może łatwo uruchomić mechanizm samospętniającej się przepowiedni.